

Dlaczego powinniśmy patrzeć na Francję?

18 marca 2023

Paryż płonie. Nie po raz pierwszy i pewnie nie po raz ostatni. Wbrew pozorom, wynik oporu Francuzów może mieć wpływ także na nas.

Potencjał wyzwolenczy w Europie

Jeżeli zgodzimy się, że europejskie systemy polityczne są już tak zakonserwowane, że „ogólny kierunek” tamtejszych elit może się zmienić wyłącznie pod naciskiem narodów w tychże państwach; oraz że jest to warunek zmiany geopolitycznej, tj. odejścia którejś części Europy od znanego „konsensusu waszyngtońskiego” – to musimy kibicować tym francuskim kobietom i mężczyznom, którzy od kilku dni dzielnie stawiają czoła uzbrojonym niczym wojsko oddziałom policji.

W Europie Zachodniej istnieją obecnie tylko trzy państwa, których potencjał ekonomiczny, militarny czy geopolityczny byłby w stanie oddziaływać na cały region. To grzeczni Niemcy, którzy wychowani w kulturze szacunku dla prawa nie są w stanie wykrzesać z siebie sił do przeprowadzenia nagłych zmian, a szczytem ich oporu są marsze antycovidowe czy rocznice zamordowania Róży Luksemburg i Karła Liebknechta. Nie stanowiące żadnego zagrożenia dla establishmentu. To Brytyjczycy gdzie przecież pełną parą pracuje londyńskie City, ale jakiegokolwiek masowe ruchy sprzeciwu zostały spacyfikowane w czasach rządów Margaret Thatcher i tak naprawdę do dziś poddani Windsorów nie odzyskali dawnej żywotności. I wreszcie to Francuzi, gdzie tradycja rewolucji jest ciągle żywa, a znaczenie trójkolorowej flagi jest zbyt głębokie, by zawłasczyć ją reżim Emmanuela Macrona.

Gdyby „narodowa rewolucja” zwyciężyła gdzie indziej: we

Włoszech, w Polsce, Niderlandach czy Skandynawii, to z dużą dozą prawdopodobieństwa moglibyśmy zakładać, że pod hasłem „walki o prawa człowieka” zostałaaby zmieciona z powierzchni ziemi najwyżej w kilka lat. Poza „wielką trójką” żadne z państw Unii Europejskiej nie posiada potencjału zdolnego do obrony samego siebie, gdyby postanowiło wyłamać się z zaprojektowanego przez Anglosasów status quo.

Walka o pokój

Francuzi regularnie wychodzą na ulice. Tamtejsza scena polityczna została zawłaszczona przez technokratów i międzynarodową finansjerę. Emmanuel Macron i jemu podobni, w systemie prezydenckim są w stanie bez większego wysiłku odtwarzać swoją władzę co kilka lat. Para oporu w wyborach idzie w gwizdek, bo rywalem „oświeconego absolutyzmu” jest zawsze ktoś zbyt „kontrowersyjny”, by francuska ulica zagłosowała na niego, choćby wbrew systemowi.

Nie zmniejsza to jednak potencjału oporu tejże ulicy. Pacyfikacja rewolucyjnej lewicy pomogła mainstreamowi tylko na chwilę. W roli awangardy zastąpiły ją Żółte Kamizelki – ruch ideologicznie eklektyczny, ale reprezentujący ogół klasy pracującej. Ruch wewnętrznych francuskich peryferii, definiujący wroga w centrum. Zdolny, by setkami tysięcy przyjechać do tegoż centrum w poszukiwaniu skradzionych sobie zasobów.

I występujący właśnie teraz w obronie... demokracji i parlamentaryzmu. Zapewne mimowolnie. To zbieg okoliczności, ale przecież symboliczny. Macron rezygnuje z zapytania parlamentu o zdanie i metodą autorytarną wprowadza reakcyjną reformę emerytalną. Demokracji nie broni ani Waszyngton ani Bruksela, ale zwyczajni Francuzi z Marsylii, Lyonu czy Bordeaux. Cenę płacą wysoką, bo policja nie szczędzi przemocy, by kolejny taki ruch rozbić w pył. A wszystko to dzieje się w warunkach, gdy zaangażowane w obronę anglosaskiej dominacji na

świecie kraje Europy, łożą potężne pieniądze na podtrzymanie wojny na Ukrainie. Było kwestią czasu, aż koszty te zaczną się przerzucać na lud pracujący, i to właśnie stało się we Francji. Nawet jeżeli nieświadomie – Francuzi dziś biją się także o koniec wojny. Nie chcą ponosić jej ciężarów. Są jedynymi, którzy pytają „w imię czego?”.

Francuskie onuce nad Wisłą?

Wyobraźmy więc sobie, że Żółte Kamizelki wyłamują wrota systemu i obierają nowy rząd. Zatrzymują reformy Macrona i ogłaszają desinteressment ws. Ukrainy. Żadnych dostaw, żadnego podżegania. „Francja po pierwsze”. Trudno zakładać, żeby US Army podjęła się trudnej operacji obalenia takiego rządu francuskiego metodą wojskową.

Nie udałooby się to raczej także CIA. Żółte Kamizelki to ruch masowy i ludowy, więc posiada większą odporność niż kadrowe „zakony polityczne”, gdzie wystarczy decyzja jednostki, by zmienić oblicze danej formacji.

Na pewno jednak po kościach by się nie rozeszło. Cała agenda propagandowa skupiłaby się wówczas na Francji. A to by zmusiło ten „odnowiony” Paryż do eksportu rewolucji przynajmniej w regionie. Nie dlatego, żeby to był jakiś ideowy nakaz, ale ze względów bezpieczeństwa. Im bardziej establishment czułby gniew narodów pod własnymi oknami, tym mniej zasobów mógłby przeznaczyć na mącenie we Francji.

A teraz wróćmy do Polski. Skonstatujmy uczciwie: dopóki awangardę świata wielobiegunowego stanowi u nas Rosja, dopóty nikogo to w Polsce nie porwie. Nonkonformistów, zdolnych do wyjścia poza ramy ciasnej rusofobii, jest za mało i regularnie podcina im się skrzydła. Ale co, gdyby punktem odniesienia stała się Francja? Czy oko.press nadal mogłoby się domagać wyrzucania z uczelni profesorów za „profrancuskie” sympatie? Czy PiS-owskie szczekaczki zastąpiłyby skutecznie „ruską onucę” czymś w rodzaju „francuskiej bagietki”? A może

Stanisław Żaryn tweetowałby o „powielaniu paryskiej narracji”? No głupio by to brzmiało. Cała polska romantyczna tradycja, wykorzystywana od ponad 30 lat do utrzymywania nas w stanie świadomości niepozwalającym wyrwać się z roli zasobu Anglosasów, oparta jest o historyczne francuskie sympatie. To stamtąd mieliśmy wypatrywać nadziei przy narodowych powstaniach, to tam mieliśmy swoją emigrację, stamtąd płakaliśmy po Polsce. Reżim panujący nad Rzeczpospolitą utraciłby w ten sposób możliwość grania na wymuszonym na Polakach poczuciu niższości wobec Zachodu. Aux armes, citoyens!

Autorstwo: Tomasz Jankowski

Źródło: MyslPolska.info